



PISMO TYGODNIOWE ILLUSTROWANE DLA KOBIET.

Prenumerata w Warszawie.

We wszystkich księgarniach i kantorach pism peryodycznych po cenie rocznie rsr. 7 kop. 20; półrocznie rsr. 3 kop. 60; kwartalnie rsr. 1 kop. 80; miesięcznie kop. 60.

Prenumerata w Cesarstwie i Krolestwie:

Kwartalnie rsr. 2 kop. 50; półrocznie rsr. 5, rocznie rsr. 10.

Wydawca **MICHAŁ GLÜCKSBERG.**

EXPEDYCJA GŁÓWNA W KSIĘGARNI WYDAWCY
Ulica Królewska Nr. 5.

W Cesarstwie Austriackim we Lwowie u Gubrynowicza i Schmidta kwartalnie flor. 3; na prowincyi z przesyłką pocztową flor. 3 cent. 8.0
W Krakowie: u D. E. Friedleina, kwartal. flor. 2 cent. 75 na prowincyi z przesyłką pocztową flor. 3 cent. 50.

W W. Ks. Poznańskim: u Leitgebera i Spół., kwartal. 5 marek

POGA WĘDKA.

Widziałem już fiołki i trawę zieloną, prawdziwą trawę i prawdziwe, świeże fiołki, co mnie przekonywa, że wiosna już nastąpiła, choć w Wiedniu jeszcze śnieg padał w zeszłym tygodniu, a niewiadomo, czy u nas Zielonych Świątek nie pobiel.

Czytałem już kilka pierwszoków poetyckich, co mi dowodzi, że w poetach i poeciach naszych zaczynają żywiej krążyć soki, jak w całej naturze.

Na niebie widziałem księżyc tak gładko ogolony podczas ostatniej pełni, taki wyświeżony i wymuskany, jakby co noc była Niedziela i wielki bal między gwiazdami na powitanie wiosny.

Widziałem także pierwszą burzę z błyskawicami i słyszałem grzmoty, jakich nawet meiningerzy na scenie naśladować nie potrafią. Wszystko mi tedy, oprócz termometru powiada, że już wiosna, i że mógłbym zrzucić zimowe palto, tylko mój własny grzbiet jest zawsze jednokowym sceptykiem i twierdzi, że mu zimno w wiosennym okryciu.

Maj na słowiczych skrzydłach przyleci, przestaniemy chuchać w palce i palić w piecu, zaczniemy wieczory spędzać w „letnim salonie“, w Botanicie i Łazienkach i chodzić rano na wody do Saskiego Ogrodu, który swój jubileusz święcił w zeszłym tygodniu.

Teraz już przecież upatrujemy wiejskiego zacisza, leśnej ustroni, domku z ogródkiem nieopodal Warszawy, mieszkanka na świeżem powietrzu, gdzieby można było jaknajwcześniej rozpocząć wilegiaturę, pochłaniać mleko we wszystkich

stopniach słodczy i na łonie natury przewracać się do góry... nosem.

W katechizmie naszych cnót z konieczności stoi napisane nowe przykazanie: „Nie będziesz wyjeżdżał zagranicę w tym roku;“ a pod odsyłaczem stoi kurs rubla i marek niemieckich, jako komentarz do tego przykazania.

Będziemy tedy znouwu w kraju spędzali całe lato, a zeszły rok nas przekonał, że to nie jest tak wielkiem niepodobieństwem, nawet wtedy, kiedy właściciele domków na świeżem powietrzu, chcą gwałtem zrobić dobry interes za wszystkie poprzednie lata w ciągu jednego sezonu. Już teraz co prawda, słychać o podskoczeniu cen mieszkania na wilegiaturze, ale to tylko w bliskości Warszawy. Nieco dalej, można oszczędnie i tanio spędzić letnie miesiące i użyć wakacyi po sielsku.

Ożywią się zapewne okolice Ojcowa, Pieskowej skały, Sandomierza, Kielc i w ogóle tych miejscowości najpiękniejszych i najzdrowszych wzdłuż nowej kolei iwangrodzko-dąbrowskiej, do których komunikacja nie była tak ułatwiona, jak obecnie, a które warte są zwiedzenia pod każdym względem.

Nasze wody krajowe, źródła lecznicze, stacje klimatyczne zyskały w roku zeszłym na popularności; w bieżącym rezultat powinien być jeszcze bardziej dodatni, zwłaszcza jeżeli zarządy zakładów kąpielowych i zdrowotnych w swoim własnym interesie rozumne zaprowadzą zmiany, ulepszenia i udogodnienia.

Przekonajmy siebie i drugich, że „niema złego, coby na dobre nie wyszło.“ Giełda europejska zamyka nam drogi zagranicę i naszą podróżomanie krępuje bezwiednie; zostawajmyż w kraju i pieniędzmi wypychajmy własne kieszenie, zamiast cudzych,

Tosamo hasło rozbrzmiewa od pewnego czasu w rozmaitych kierunkach; oto najświeższy głos odezwał się teraz z łona Towarzystwa popiera-

nia przemysłu i handlu, które na porządek dzienny wyprowadziło.. kwestyę chmielarską.

„Nie byliśmy nigdy przedsiębiorczymi i zawsze pozwoliliśmy się cudzoziemcom wyprzedzać,—powiada odezwa delegacyi, która tę sprawę szczegółowo w ostatnich dniach badała,—dziś czas jeszcze potemu, ażeby przeciwdziałać przewadze zagranicy. Inaczej, nie tylko że wszelkie zyski ztąd osiągnięte, pójdą do kieszeni obcych, lecz obcokrajowe dosłownie całym swoim ciężarem zawisną bezpośrednio nad producentami chmielu. Biorąc miarę z roku zeszłego, właściciele sortowni obcokrajowych przeciętnie nie płacili drożej za pud chmielu, jak rs. 12 do 15, gdy tenże chmiel po dokonaniu z nim niezbędnych a tanich manipulacyi, sprzedawali po rs. 25 do 38 za pud. Umiarkowany klimat naszego kraju, wpływa dodatnio na rozwój chmielarstwa. Dzisiaj zwłaszcza, gdy zboże nie popłaca, nie pozostaje nam nic innego, jak jąć się uprawy roślin przemysłowych, obecnie jesteśmy w stanie produkować o wiele taniej, niż zagranica, to też z czasem możemy rachować na znaczny odbyt tego produktu, zwłaszcza do Anglii.“

Delegacya proponuje tedy jednogłośnie zawiązanie akcyjnego towarzystwa chmielarskiego z kapitałem zakładowym 300,000 rs. do rozpoczęcia działalności, zaś wystarczyć ma trzecia część tej sumy.

Od chwili podniesienia cła od chmielu zagranicznego do wysokości rs. 10 w złocie od puda, nowopowstały przemysł chmielarski dostał się całkowicie w ręce cudzoziemców. Widzimy w Warszawie duże dwie sortownie chmielu, a wkrótce powstać ma trzeci zakład tego rodzaju.

W guberni Wołyńskiej istnieje już kilka sortowni.

Chodzi zatem o to, by sobie nie dać z rąk zabrać nowej, zyskowej gałęzi przemysłu rolnego, tembardziej, że produkt nasz może zwyciężko walczyć z zagranicznym. Na wystawie powsze-

chnej w Paryżu, chmiel z galicyjskiego Rohatyna, z majątku hr. L. Krasińskiego, uzyskał pierwszą nagrodę.

A zatem probujemy robić interesa na chmielu; projekt Towarzystwa akcyjnego gotowy, chodzi tylko teraz o kapitał i rozpoczęcie działalności; podczas zjazdu rolników na wystawę inwentarza będzie można agitacją rozpocząć na większą skalę.

Nic się nie znam na chmielu przed jego przetworzeniem w nektar Gambrynusowy, dlatego na wiarę delegacji chmielarskiej muszę twierdzić, że to przedsiębiorstwo korzystne i że warto się nad nim zastanowić.

Żyjemy w czasach, w których dzieci nawet spekulują; przypominają to trochę „Familia Benoiton“, w której malcy mają swoją osobną giełdę, gdyby wypadek opisany w jednym z pism nie miał szlachetniejszej inicjatywy i dążności.

Oto tak było: dzieci jakiegoś rządcy w dużym majątku założyły sobie wspólną kasę ze swoich oszczędności i zamiast pieniądze przez ojca podporowane przejeść, użyły na założenie sklepu... prawdziwego sklepu, czegoś w rodzaju norymberskiego bazaru, w którym dostać można było nici, igieł, guzików, włóczki i t. p. drobiazgów do codziennego użytku.

Miała to być zabawka, kupowano i sprzedawano na miejscu, i rozumie się z zyskiem.

Interes się powoli rozszerzył i wkrótce kapitał obrotowy nieletniej firmy przerósł całą setkę rubli, a do sklepu sprowadzono nowe towary, zakupiono cukru, kawy, herbaty, klientela również wzrosła i nie tylko oficjaliści rzeczonoego majątku, ale i właścianie zaczęli zaopatrywać się w „dziecięcy sklepik.“

Zapewne, że ta zabawka tak praktyczna a takim dobrym skutkiem uwieczniona ma swoje strony dodatnie, czy wszelako pod względem pedagogicznym nie jest szkodliwą, czy nie zawczasie rozbudza w dzieciach z duchem merkantylizmu pewnych instynktów nieodłącznych, a nie bardzo właściwych tak wczesnemu wiekowi...

Mojem zdaniem, maluchy niech się pożytecznie bawią, niech pomagają starszym, ale niechaj przedwcześnie nie biorą się do nie swoich rzeczy. Przykład ich wszelako powinienby podziałać na starszych i rezultaty takiego przedsięwzięcia na małą skalę winnyby zachęcić nie dzieci, ale rodziców ich do zakładania takich sklepików po wsiach, w większych majątkach, aby drobny handel ożywić, rozwinąć i wyzwolić z rąk wyzyskiwaczy.

Dla Milusińskich naszych przyjdzie właściwy czas do spekulowania na handlu, do obliczania zysków, do korzystania z przedsiębiorczych zdolności, do mierzenia i ważenia; tymczasem pozwólmy im jeszcze bawić się i uczyć swobodnie.

Nie chciałbym, ażeby mnie posadzono o jakieś wsteczne i zachowawcze w tym względzie poglądy; uważam tylko za niewłaściwe tego rodzaju eksperymenty do pewnego wieku.

Nie wiem, coby o tem powiedziała fachowa pedagogia; radbym usłyszeć jej zdanie w tej kwestyi tak samo, jak w sprawie owych zbiorowych zabaw, które w ostatnich latach gromadziły w Ogrodzie Zoologicznym i w Tattersalu setki chłopczyków i dziewczątek, a w tym roku mają w zamierzonym „zabawniku“ (Bogu dzięki, mamy nowy termin językowy!) nad Wisłą w parku prazkim gromadzić nasze pociechy.

Wytrwale odzywają się głosy, które wskazują w tem niebezpieczeństwo demoralizacji malutkich. Są to wszelako tylko teoretyczne przypuszczenia i akademicka dyskusja w sprawie, w której rozstrzygać mogą jedynie faktyczne wyniki. Od dozoru, od sposobu prowadzenia takich zabaw, od nadania im właściwego kierunku wszystko zależy.

Kto zauważył wpływy niekorzystne, niech się odezwie publicznie, niech powie, co złego wynikło z tego, że Jaś lub Marychna poskakali potańczyli, pośmiali się w gronie rówieśników na wolnym powietrzu.

Zdaje mi się, że więcej niebezpieczeństwa jest w owych przygodnych zebraniach, a raczej zbiegowskich dzieci w Ogrodzie Saskim, lub w Ogrodzie Krasińskich, gdzie miłe dziateczki wykształ-

cają się na niesforną trzódkę zdziczałych kóz i nabierają manier uliczników.

Nie rozumiem też, dlaczego przedsiębiorcy „zabawnika“ przyszedł pomysł wybierać park na Pradze do urządzania rozrywek dziecięcych; odległość miejsca, komunikacja bardziej utrudniona, bliskość Wisły, z której wyziewy i wilgoć nie bardzo chyba sprzyjać mogą młodzieńskim organizmom, wreszcie niezbyt zaszczytna opinia tego parku, jako kryjówek włóczęgów nocnych, nie przemawiają wcale za wyborem jego.

Ciekawy jestem, dlaczego nikt z inicjatorów tych zabaw nie próbował skorzystać z tak wygodnego punktu, jakim jest ogród Saski, w którym przecież osobny trawnik urządzono i przeznaczono na „dzieciarnię“, albo dlaczego nie można by w tym samym celu wyzyskać zakątka przy instytucie wód mineralnych, gdzie znajdująca się mleczarnia i cukiernia dostarczyłyby od razu pożywienia dla niedorosłych gości.

Śmierć jednego ze starych aktorów i dyrektorów prowincjonalnych przypomniła projekt nieboszczyka, z którym nosił się za życia i poszedł do grobu; projekt założenia teatrzyku dla dzieci.

W ogrodzie tuileryjskim w Paryżu, w Praterze wiedeńskim widziałem tego rodzaju ucieszne rozrywki dla malców, z których i starsza publiczność chętnie korzystała.

Jestem przekonany, że teatr maryonek, gymnastyka, strzelnica, piłki, miałyby u nas powodzenie nie nielada w miejscach publicznych, gdyby się tem z pedagogiczną myślą zajął jaki przemysłowy przedsiębiorca.

Nie tylko dzieci, ale i starsi nie umieją się u nas bawić wcale, szerokim i urozmaiconem tego słowa znaczeniu.

Bezmyślność tych ujazdowskich i bielańskich rozrywek, z których świąteczny tłum korzysta dwa lub trzy razy do roku, nie dają mu ani umysłowej, ani fizycznej satysfakcji, ogłupiają go raczej i demoralizują.

„Dzykie ludzie“, panoramy, potwory malowane a potwornie jeszcze objaśniane przez jarmarcznych kuglarzy i wydrwigroszów, budy z mezażeryą, huśtawki i młyny dyabelskie—oto cały program zabaw ludowych u nas, w których z konieczności, jako najbardziej rozweselający czynnik, występuje wódka i piwo. „Bawić się“ jest też u nas w pojęciu niedzielnej publiczności, która szuka wytchnienia i rozrywki po całotygodniowej pracy, synonizmem: „upić się.“

Nie poraz pierwszy zabieram głos w tej sprawie, domagając się pewnej reformy w tym kierunku, ale zapewne nie poraz ostatni odzywam się, rzucając słowa... na wiatr, niestety.

W lecie przybywa co prawda dla szerszych mas miejskiej ludności nibyto szlachetniejsza rozrywka w teatrzykach ogródkowych; będzie ich w tym roku podobno aż pięć konkurowało z sobą.

Niezrażeni bankructwami i deficytem zakrytych Melpomeny zamierzają znowu dzwonić przy swoich budach, udających świątynie sztuki... Nazjeżdża się tedy tego aktorskiego biedactwa mnóstwo do Warszawy, aby się odkarmić i odżywić trochę po prowincjonalnej włóczędze, ale o ile śmiem przewidywać, powtórzy się znowu ta sama ogródkowa tragikomedya, która w ostatnich latach tyle krwi i atramentu nam zepsuła.

Będą znowu siły marne, repertuar lichy, środki mizerne, jak co roku bywa.

Być może, że konkurs Echa na sztukę ludową i melodramat mieszczański przysporzy trochę materiału scenkom trzeciorzędnym, ale i pod tym względem nie wiele mam dobrych przeczuć, zwłaszcza po plonie ostatniego konkursu imienia Żółkowskiego. Zarobią najwięcej kelnerzy i restauratorzy, karmiący w antraktach zgłodniałe i spragnione rzesze po ogródkach.

Jedyną zmianą dotąd mi znaną, będzie zmiana nazwy teatrzyku przy Nowym Świecie, którą aż na drodze konkursu przeprowadził właściciel tamtejszego bufetu.

Zyskamy z bulwarowych firm paryzkich skopiowany „Wodewil“ nad bramą tego zaułka Melpomeny; gdybyż i na scenę coś z owego paryzkiego „Wodwilu“ się dostało!... ale to próżne żą-

danie. Zkąd widać aktorów i sztuki, odpowiadające nowemu tytułowi?..

Nasza stała scena nie bardzo w nie obfituje; nowości naszego repertoaru starzeją się w ciągu tygodnia lub miesiąca. Trwalszej żywotności nie wnosi z sobą żadna sztuka ostatniej daty.

Na poranku beneficjowym p. n. Marcelló wyznałem okrzyczany dramat Echegaraya p. t.: „Galeotto“; melodramatyczne efekta w nim przeważają; szarpie nerwy publiczności, rozdrażnia, gniewa, wadliwą architektoniką razi miejscami, ale ma motyw żywotny zawsze i wszędzie, dopóki „złe języki“ istnieć będą, a plotka i potwarz czaić się nie przestaną w każdym większym czy mniejszym mieście, w każdym towarzystwie bez względu na sferę i stopień ukształcenia.

W Warszawie, kwestya poruszona w dramacie hiszpańskiego autora, jest kwestyą codzienną. Ten brzydki, złośliwy, plotkarski świat, który się miesza w prywatne stosunki uczciwych ludzi, który podejrzewa wszystkich o wszystko, szuka gwałtem sztucznych wyjaśnień dla spraw bardzo zwyczajnych lub pospolicich, który cudzą sławą i spokojem bawi się lekkomyślnie, jest u nas również bohaterem niewidzialnym niejednego dramatu i niejednej farsy życiowej.

Miasto liczące około pół miliona ludności ma przywary i narowy partykularza; zaglądać w cudze garnki, podglądać po sąsiedzku „na czem kto siedzi“, zajmować się drobiazgami, które do nikogo nie należą, swatać, rozwodzić i stręczyć ludzi, tworzyć banialuki o romansach i bawić się cudzym kosztem, to przecież ulubione zajęcie towarzyskie publiczne i prywatne, jawne i skryte naszych Galeottów, rozmnożonych na tysiące.

To, co się nazywa opinią towarzyską u nas, bywa najczęściej stara, wygadana plotkarka i intrygantka, która każdej pannie podrabia narzeczonoego, każdej mężatce adoratora, każdemu kawalerowi romansik, i nieskończenie snuje pasma bredni, głównie na erotycznym motywie.

Zdawałoby się nieraz, słuchając tych salonowych, ogrodowych, ulicznych i teatralnych Galeottów, że w Warszawie nie innego się nie robi, tylko się romansuje, bałamuci, mężom rogi przyprowadza, uwodzi cnoty, spiskuje na cudzy honor i spokój domowy, ze schadzki biega na schadzki i poluje na awanturki miłosne.

Rozmówienie w skandalach i skandalikach wzrasta nawet w ludziach średnio-poważnych, którzy mogliby zajmować się czem innym, niż prywatnymi sprawami swoich bliźnich i obmawiają się tedy przyjaciół, znajomych i nieznanomych, tych nawet najczęściej; obmawia żywym i pisanem słowem bez skrupułu, bez zastanowienia, bez obawy odwzajemnienia pięknem za nadobne.

A do tego wszystkiego obłuda towarzyskich stosunków, pokrywka konwenansu, znieczulenie uczuć i drażliwości prawdziwie moralnych, pogarszają to złe, które coraz większą pleśnią narasta, i coraz duszniejszą czyni atmosferę naszego prywatnego życia.

Nic łatwiejszego, jak uśmiechnąć się dwuznacznie, jak rzucić słówko podejrzenia, powtórzyć pogłoskę uwłaczającą, kiedy mowa o ładnej kobiecie; Galeotto nie przypuszcza, aby dokoła niego nie snuły się jakieś tajemnice, intryżki, podstępny. Podejrzewa je wszędzie i zręcznie przy sposobności denuncjuje, malując dyabła najczęściej czarniejszym, niż jest w rzeczywistości.

Zaslugą byłoby polskiego Echegaraya, gdyby pod pręgierz publiczny postawił naszych Galeottów i wskazał całą ich nizeczność, lub lekkomyślność, z jaką prowadzą swoje rzemiosło. Płytkość stosunków towarzyskich, płytkość życia umysłowego, brak poważniejszego zajęcia się sprawami ogólniejszego znaczenia, prywatna i drobiazgowość wytwarzają to złe, przeciw któremu często niestety walka staje się niemożliwą.

Przykro mi powiedzieć prawdę, ale znaczna część winy tej spada na pleć piękną, której zarzucano od czasów matki Ewy, że ma skłonność do gadatliwości i bajeczkami chętnie się zajmuje.

Poważniej myśleć, poważniej mówić, poważniej traktować świat i ludzi przydałoby się — szanowne paniel!..

Nie mam na zakończenie dzisiejszej gawędy

smutnego krzyżyka; wolno mi garścią faktów zamknąć tę kronikę, więc z uznaniem wspominam o zamiarze zakładania rzemieślniczych warsztatów dla chłopców przez Towarzystwo Dobroczynności, o nowym Salonie artystycznym, który pośredniczyć będzie między amatorami sztuki a twórcami w sprzedaży obrazów i rzeźb, przyjmować obywateli na zapotrzebowania kościołów z dziedziny religijnego malarstwa, i t. p.; zanotować też mogę postanowienie budowy domu dochodowego przy naszym gmachu teatralnym i restauracji Wielkiego Teatru, a w samym końcu muszę donieść, iż panna Russel, którą tak niedawno żegnaliśmy przez kilka miesięcy, powróciła znów na scenę Opery i śpiewać zaczęła, ale tym razem jakoś wobec nielicznych słuchaczy.

Amerykańska primadonna kocha nas widocznie więcej od Kochańskiej, i nie źle się to oplaca pocziwej duszy...

Quis.

ZYCIE I PRACA

przez

Samuela Smiles'a.

(Dalszy ciąg).

Poeci, podobnie, jak muzycy, okazywali wczesnie bliski tego natchnienia, które później czyniło ich wieszczami, szczególnie poeci namiętnej, gorącej natury. Wielcy poeci włoscy—Dante, Tasso, Alfieri, byli szczególnie przedwczesni. Dante w dziewiątym roku życia tak silnie ukochał Beatrycę, młodszą rokiem od niego dziewczynkę, że niezapomniał o niej nigdy i uczucie, które wzbudziła, żyło w nim zawsze, łączyło wspomnienia swoje z najwznieściejszymi utworami jego natchnienia. Tasso posiadał równie tkliwy, uczuciowy temperament twórczy i poetę już był w dzieciństwie, przez wzruszenie serca natchniony. Mając lat dziesięć napisał kanzonę, dla której natchnieniem był żal rozstania się z matką i siostrą, gdy wyjeżdżał z ojcem do Rzymu. Porównywał się do Askaniusza, który uchodząc z Troi, unosi Eneasza. Miał lat siedemnaście, gdy napisał *Rinaldo*, poemat o dwunastu kantos. W dwudziestym pierwszym roku zaczął pisać swoje nieśmiertelne dzieło: *Seruzalem Wyzwolona*; pisał je lat dziesięć i w trzydziestym pierwszym roku stał już u szczytu sławy swojej.

Metastazio, mając lat dziesięć improwizował na ulicach Rzymu; Goldoni w ósmym roku nakreślił szkic pierwszej swej komedii. A był to chłopiec trudny do wychowania, uparcie zrzucający z siebie jarzmo dyscypliny szkolnej. Uciekał kilkakrotnie ze szkół niższych, a potem z kollegium do trupy wędrownych aktorów. Rodzina musiała go szukać i odbierać przemocą, a choć skończył naukę prawa, które praktykował potem w Pizie i zyskał sobie w tym zawodzie wielki rozgłos i opinię uczzonego prawnika, niemniej zamiłowanie do sceny nie zagasło w nim nigdy. Komedyje, które pisał dały mu sławę; im też oddawał większą część swego czasu i życia.

Alfieri, którego nieraz nazywano włoskim Byronem, należał, zwłaszcza w młodości, do najbardziej excentrycznych ludzi. Jak większa część poetów był w dzieciństwie bardzo delikatnego zdrowia, co trzeba przypisywać tak u niego, jak u innych tej pracy wewnętrznej uczucia i wyobraźni, która rozstraja istotę, jeszcze nieuforowaną. Był niesłychanie, nadmiernie tkliwy, odczuwał bardzo gorąco każde zdarzenie i mając lat ośm chciał się raz otruć. Zjadł jakieś ziele, które uważał za trujące, ale skutek tragedii był tylko taki, że rozchorował się, a potem odsiedział karę kozy, na którą go skazano, zamknąwszy w sypialnym pokoju. Po tej pokucie, posłano go do kościoła, na przeproszenie

Boga i pisze on potem: „Kto wie czy temu zdarzeniu nie zawdzięczam tego, że się wyrobił na najmocniej religijnego człowieka.“

Widok morza, które ujrzał raz pierwszy w szesnastym roku pod Genuą, wywarł na niego wrażenie wielkie, pełne rozkosznego uniesienia. Ale to było uczucie pierwsze, potem ogarnęła go niewysłowiona tęsknota i wtedy to uczuł przebudzającą się w sobie poezję. Ale chociaż syn rodziców bogatych, nie był dość wykształconym, aby mógł odziewać w słowa odpowiednie myśli i uczucia, które się w nim budziły. To go zwróciło do książki—do nauki, do szkoły. Pracował usilnie; potem wyjechał za granicę, zwiedzał wielkie miasta, Paryż, Londyn, melancholiją duszy poetycznej—nudę, która go ogarniała wśród tłoku ludzi, chciał utopić w hulankach, aż zakochał się namiętnie. Miał wtedy rok dziewiętnasty. Że nie otrzymał wzajemności, wpadł w rozpacz: znów chciał umrzeć, lecz na szczęście—dla poezji, wierny lokaj, którego miał ze sobą uratował go. Przechorował przeciwieństwo tę tragedię samobójstwa, a gdy wyzdrowiał, znów się pokochał, znów miłość przyniosła zawód, ale teraz innem było zakończenie. Obciął sobie włosy tuż przy głowie, zamknął się w domu i zaczął pisać.

Trafił teraz na przeznaczenie swoje. Smutki i szaly młodzieńcze — tęsknoty, które go pchały przed siebie, aby przecieź nigdzie nie znalazł zadowolenia, to była poezja, rozpierająca pierś młodą i szukająca sobie ujścia. Niewola, w którą się dobrowolnie wziął, aby zamknąć sobie drogę do świata i jego wiru, złączyło go z tą powolną mu i słodką kochanką, której też ślubował wierność, i z którą już się nie rozłączył aż do śmierci. Pierwsza jego tragedia *Cleopatra*, była napisana w Turynie, gdy miał rok dwudziesty szósty. W siedmiu latach następnych napisał czternaście tragedii, które były najwyższymi płodami jego natchnienia.

Cervantes bardzo wczesnie zaczął tworzyć. Geniusz jego objawił się przecieź najpierw w formie lirycznej. Do lat dwudziestu pisał piosenki i ballady; napisał sielanekę: *Felena*. Wieland należał do najwcześniejszych rozbudzonych poetów niemieckich: w trzecim roku życia nauczył się czytać; w siódmym roku umiał po łacinie i czytał Korneliusza Neposa, a w trzynastym już układał poezje epiczne. Podobnie jak u innych poetów miłość, może więcej wymarzoła, niż odczuwana, przyszyła zbudzić zorzę jego natchnienia: w szesnastym roku napisał poemat: „Die Vollkommenste Welt.“

Klopstock przeszedł podobne koleje, był upartym chłopcem, potem zapalonym studentem, potem rozkochanym młodzieńcem, aż stał się wielkim poetą. Plan *Messyady* i pierwsze jej pieśni powstały zanim skończył rok dwudziesty, jakkolwiek dopiero w trzy lata potem drukował trzy pieśni początkowe. Przez to pierwsze dzieło młodości otrzymał uznanie świata i żyje dotąd w literaturze.

Schiller'a poezja namiętnie pociągała do siebie od zarania życia. Raz mały chłopczyzna wdrapał się na drzewo w czasie nawalnej burzy. Grzmoty huczały mu nad głową, błyskawice przerywały chmury, a on siedział na gałęzi jak ptak i patrzył w ten dramat natury. Zrobił to dla tego: „aby zobaczyć z kądem wychodzą błyskawice, które są tak piękne.“ U nas powiedziałoby mu każde chłopię wiejskie, że jest to ukazujące się wnętrze niebios, które się odmykają, gdy Bóg wygląda na ziemię. Ale i u nas niejedno dziecko, chciwie pragnęło zajrzeć tam—wnętrze nieba zobaczyć, i żałowało potem, że zamyka się tak prędko przed spragnionymi tego widoku oczyma. W Schillerze było to niemniej charakterystycznym rysem namiętnego, energicznego uniesienia, że się drapał jak mógł najwyżej, aby wysledzić to widowisko niebieskie.

Pierwsze natchnienie do poezji pisanej, najpierwsze rozbudzenie chęci tworzenia przyszło Schillerowi przy czytaniu Klopstocka. I w religijne też uczucie wcielone to zostało. W czterdnastym roku napisał epiczny poemat: *Mojżesz*; liryzm rozbudził się dopiero wtedy, gdy mógł

czuć przez własnego serca bicie, gdy własne jego uczucia zagrały w nim miłością i tęsknotą.

Goethe był tak bardzo przedwczesnie rozwiniętem dzieckiem, że utrzymuje się podanie jakoby rozumiał i mógł pisać poniemiecku, francuzku, po łacinie, grecku i włosku w ósmym roku. Już w tym wieku tworzył sobie własny kult religijny i składał ofiary „Bogu natury.“ Muzyka, rysunki, nauki przyrodnicze, studia językowe—wszystko pociągało ciekawie umysł genialnego dziecka. Körner był słabowitym i delikatnym chłopcem, ale już gorąco czującym i odważnym. W dziewiętnastym roku życia wydał poezje swoje, tworzące cały tom, a ostatni i najslawniejszy jego utwór: „Pieśń miecza“ napisał w dwudziestym drugim roku, na dwie godziny przed śmiercią. Padł w boju za wolność i całość niemieckiej swej ojczyzny w walce odpornej przeciw zaborowi Napoleona I-go. Żył w czasach dla ojczyzny jego nieszcześniejszych i patryotyzm był też najwyższym natchnieniem jego poeji.

Rozwinięcie się wczesne umysłu i uczucia jest dowodem ich siły i wyższego stopnia ich nastroju. Montaigne miał to przekonanie, że duchy ludzi wielkich już w dzieciństwie świadczą o sobie, i napisał:—„Duch, który nie daje już wtedy znać o sobie widocznie objawiającą się siłą i dzielnością, nigdy potem tego nieokaże. Naturalne to są jego przymioty i doskonałości, muszą też już być mocne i bujać ku górze wtedy—albo nigdy.“ Sąd to jest według Smilesa, zbyt arbitralny, ale przeważnie tak się dzieje. W młodej piersi musi kielkować już to, co ma zakwitnąć w życiu kwiatami poezji i uczucia; dla polotu myśli uskrzydłonej porą objawienia się musi być wiosna życia.

Na południu zwłaszcza duchy rozwijają się tak, jak ciała, wczesnie; w krajach północnych tylko u szczególnie obdarowanych przychodzą takie rozkwity poranne; gorąco uczuć, żywość wyobraźni sprowadza je i zapal jest słońcem, przy którym następuje ich dojrzwianie. Racine napisał pierwszą swą tragedią, już oklaskiwaną i otwierającą mu podwoje sławy w dwudziestym pierwszym roku, ale jego wielkie dzieło, które go stawia w rzędzie wysokich poetów: *Fedra*, wyszła z głębi jego poetycznego ducha dopiero w trzydziestym ósmym.

Nietylko zdolności, ale i skłonności ducha, jego kierunki i przymioty—jego gatunek objawia się już od młodości i rodzice, jeżeli są uważni i myślący, otrzymują wczesnie wskazówki, jaką jest ta istota młoda, której wykształceniem kierują. Voltaire w kollegium zaczął pisać satyry na księży: było to w kollegium Jezuitów i mimo siły wpływu, jaki przypisują temu zgromadzeniu, nie oddziało bynajmniej na niego i myśl jego rozwijała się w samodzielnych poglądach na życie.

Niczemu i nikomu nie uległ też nigdy: ojciec chciał go mieć prawnikiem, a on został literatem. W dwudziestym roku życia dostał się do Bastylii, i tam to poprowadził tragedią *Edyp*, napisaną w dziewiętnastym roku, a graną, gdy miał lat dwadzieścia dwa. W Bastylii też zaczął pisać *Henryadę*.

Wiktor Hugo miał również wczesne przebudzenie się ducha poetyckiego. Czytelnicy naszego pisma znają szczegóły tego życia, które mogło przez wrażenia obojętne—przez bujność ich i barwność, oddziało na rozbudzenie się: na rychłe poloty wyobraźni, na wzruszenie uczuć serdecznych. Gorące czasy są, jak lata upalne, wyprowadzają przed porą kwiaty z paków, każą dojrzwieć ziarnom i owocom. Wiktor Hugo dzieckiem pisywał ody, w dwudziestym roku napisał *Bug Jargala*, a w rok potem *Hana Islandzkiego* i wydał tom poezji: *Odes et Balades*. Ale też i Kazimierz Delavigny zaczął pisać poezje w czterdnastym roku, Lammenais w szesnastym napisał: *Paroles d'un Croyant*. Lamartina wszystkie już *Méditations* wyszły, gdy miał lat dwadzieścia siedm i miał 40 edycy w przeciągu lat czterech. Zapal serc kazał wczesnie bić do głowy sokom istoty ludzkiej—dawał im rano rozkwit pełny.

(Dalszy ciąg nastąpi).

NA STARYM GRUNCIE.

POWIEŚĆ

Przez

M. Febroniusza.

(Dalszy ciąg.)

Prawdziwy Dzień Pański—niedziela boża była we dworze rudawickim, bo serca ludzkie świętowały w pełni słodkich, tkliwych uczuć. Pan Michał odmłodził: jego pomarszczona, szczupła twarz okrasila się nagle rumieńcami.— Kochanko—rzekł do p. Róży, gdy się w chwilę jakąś po śniadaniu we dwoje tylko znaleźli—mnie tak coś weszło w serce, jak nadzieje.... Może ta poczciwa dziewczyna szczęście nam do domu przyprowadzi, bo mi tak jest, jakgdybym się czegoś dobrego spodziewał. To tak bywa kochanko, tak bywa.... Gdy nieszczęście zawezmie się na kogo, to go już dręczy, dręczy.... nic się nie wie, a wszystko opuszcza: siły, ludzkie. Ale może już Bóg zmiłował się nad nami, bo pomyśl—no tylko! Najpierw ten chłopak zacy, jak z obłędem nam śpiał, a teraz ona—kochanie to najmilszel! A śliczna jest.... Prawda? Napatrzeć się jej nie można i trzebaby tylko malarza, aby obrazek zrobił, gdy ona oczy na człowieka podnosi....

Pani Róża miała serce równie wzruszone i pełne wdzięcznego dla Wandy uczucia, ale ją niepokoiła myśl, co prezesowa zrobi? jak postąpi? Ludzie nieszczęśliwi, a zwłaszcza ci, których los zepchnął niżej, niż stali kiedyś, bojaźliwymi się stają. Lękają się wypadków, lękają się ludzi. Jest to zafukanie losu, jest to uczucie bezbronności swojej — smutne, bolesne uczucie, które ciężko przygniata, a którego p. Róża doświadczała teraz. Zdawało jej się, że ciotka Wanda przyjedzie lada chwila — pyszna, wyniosła, zjawi się dumnie na ich progach i wyrzucać im zacznie, jak mogli przystać na to, aby nierozsądna dziewczyna do ich biedy, do ich czarnego chleba zejść miała? Może będzie przypuszczać, że oni ją we własnych widokach przywabili? Bała się jakiegos zuchwałego postępku. Bała się, aby prezesowa przy stosunkach i pieniędzach swoich nie znalazła jakiej drogi zabrania z ich domu Wandy gwałtem, na mocy prawa przez wychowywanie jej nabytego....

A oni czyżby jej bronić i obronić potrafili? Niepokój ten był okrutny i zatrważał też szczęście, że Wandę pod dachem swoim ma, bo cóżby to była za chwila, gdyby ją w przypuszczany sposób tracić przyszło? Nie móż jej ratować, gdy ona się pod ich opiekę, pod ich skrzydła schroniła i ratunku tego od nich żądała.... Kobieta podnosiła oczy do nieba i była pełna trwogi, gdy Wanda tymczasem rozgospodarowywała się radośnie, jak w domu rodziców, do którychby z dalekiej podróży przybywała. Był obok pokoju bawialnego ładny alkierzyk, z oknem na ogród, odpowiadający temu, który Stanisław zajmował: tamten był na lewej a ten na prawej stronie domu i miał dwa wejścia: wchodziło się tu i z bawialnego, i z sypialnego pokoju państwa Michałostwa. Aż dotąd był on pewnego rodzaju budarem p. Róży. Gdy była młoda i szczęśliwa, tu sobie czasem na chwilę samotną zachodziła, tu miała zebrane wszystkie swoje skarby: pamiątki i rzeczy cenniejsze. Jeszcze matka mężowska ustawiła jej tu dwie piękne szafeczki gdańskie, i kanapkę wybitą persem w wielkie kwiaty i kunsztowny sapecik ze sztucznym zameczkiem, na przechowywanie co miała najkosztowniejszego. Czuć tu było wtedy woń róż, lawendy, bo flaszki z różaną i lawendową wodą stały w jednej z szafek, na półce rzędem ustawione, a starsza pani, wprowadzając tu młodszą, przytuliła ją sobie do piersi i i rzekła:—Niech ci tu będzie dobrze, córko moja.... Pani Róża powtórzyła dziś to sama,

oddając Wandzie tę komnatkę, tylko, że głos jej drżał i dziewczyna, którą tuliła do serca, drżała także. Ale uczucie szczęścia, że znajduje się tu nakoniec, ogarnęło wkrótce całą istotę sieroty, a gdy jeszcze po chwili wniesiono tu jej i ustawiono pod ścianą łóżko, uczuła się jak w domu, jak u siebie i zdawało jej się, że tu już jest jak w forticy obronnej—że jej tu nic złego dostać, dosięgnąć nie może—nie, coby ją przemocą i uciskiem łamać chciało. W rogu ściany od strony okna stał w kącie wsunięty mały stolik okrągły, a na nim Bóg wie ile lat mająca tualetka, ze ściemnianego przez czas mahoni, z lustrem między dwoma słupkami, na brązowej strzale zawieszonym. P. Róża już tu do szufladki grzebienie włożyła i Wanda z rozkosznym uczuciem swobody stanęła teraz przed tą nową gotownią swoją i zaczęła warkocze rozpinać. Dziś rano splatała je tak pośpiesznie, a ręce jej drżały, teraz też rozpuściła je, długie kosy czarne, miękkie i lśniące, jak jedwab i zaczęła je czesać, pleść nanowo, bawiąc się tem jak dziecko, jak dziecko patrząc na siebie w zwierciadło i uśmiechając się do siebie, może za to, że ona tu jest, że się widzi między temi czterema ścianami starego dworu. Przywilej to młodości, że wspomnień smutnych prędko się pozbywa. Gdy jakiś promyk nadziei błysnie, już nie ogląda się na to, co pozostało w tyle, a patrzy naprzód. Wanda była naturą poważną, bo była sierotą, ale i ona ulegała ogólnemu prawu. Już nie myślała o tem, co przeszła, bo to przecież minęło: czesała włosy i brała ją chętna śpiewać, tak jej ciepło, radośnie było na sercu, aż w tem drzwi uchylły się pocichu i weszła Naścia, pokojówka. — Pannusiu — rzekła — ja chciałabym pannusi coś powiedzieć, ale się wstydę... nie śmiem.

Dziewczyna była bardzo ładna i młodziutka. Prędko rosła i wyglądała jak topolka wybujała, a miała tak, jak Wanda, duże oczy czarne, pleć bladą, tylko nieco ogorzałą, pozłożoną od słońca. Istniało między nimi podobieństwo pewne, typ jeden, bo rodzina Porzeckich była rdzennie tu tejsza, szła z pnia na tej ziemi wyrosłego. Rudawicy wywodzili się z Mazowsza. Podobno za Sobieskiego tu osiedli i nazwisko ich rzeczywiste było Lasata, czy Lasoccy, tylko od ziemi przewzali się Rudawickimi, a Lasota jedynie za przydomek im służyło, a że z czasem rozdzielili się na dwie gałęzie, byli Lasotowie Bieleccy, byli Lasotowie Rudawicy, a nawet p. Michał twarzą i charakterem mazura pokazywał. Lecz ród Porzeckich miejscowy był i miał pochodzenia tego cechy rodzime, które i w urodzie Wandy przebiegały. Między nią i Naścią podobieństwo też było, coś siostrzanego. Gdy dziewczyna przed nią stanęła, wzrostem jej równa, uderzało to: — Pannusiu... — szeptała rumieniąc się — wstydę się powiedzieć... nie śmiem...

Chodziło o to, aby Wanda przebrała się w jej suknie, bo dziewczyna widziała, jak jej w długiej, ciężkiej amazonce niedogodnie. Przyniosła, co miała najparadniejszego: stroje świąteczne: spódniczkę w kwiateczki habrowe, kabacik czerwony i białą muslinową zapaskę. Przyniosła nawet wstęgi do warkocza i Wanda, proszona, aby „nie gardziła“, przyjęła to wesoło. Uściskała dziewczynę: uściskała serdecznie i ubrała się. Było jej ładnie i rada temu była. Szczęście napełniało jej serce, a gdy poszła p. Róży się pokazać, przytuliła jej się do piersi i rzekła: — Matko, jabym nigdy innej sukni nie chciała, gdybyście mi pozwolili na to... Lekko mi w niej, i dobrze — i lepiej, niżby było w złotogłowie, przy sercu ścisniętym.

W tej chwili właśnie, gdy się to działo w Rudawicy, prezesowa po powrocie z kościoła wchodziła do swego pańskiego, pustego pałacu i ta pustka, która wiała z niego, uderzyła ją zaraz z progu. Samej — samej jednej wejść do obszernych pokoi, których rząd cały stoi głuchy i milczący! Paradnie umeblowane, błyszczące wywoskowanymi posadzkami, z pysznie pięknymi kwiatami u okien, w które właśnie biło jasne czerwcowe słońce, wytwornymi storami i draperiami firanek w gorących swych blaskach zlagodzone, otwierały się przed nią, jak pałac zaczarowany: nieme, bez głosu, bez echa nawet żadnego i ona, zimna, twarda natura, uczuła, jak mróz jakiś

przechodzący jej po kościach, — uczuła się przygnieciona tą samotnością!... Tak zawsze — zawsze tu żyć... Budzić się tak samą, wśród czterech ścian milczących, samą oczy do snu zamykać i cały dzień tak trwać. Prezesowa nie płakała nigdy, istota jej wewnętrzna skąpa była we wzruszenia i nie wydobywała łez ze źródła ich serdecznego. Cierpienie głuche i zamknięte w sobie, milcząc się w niej trawiło, ale teraz, wobec tej pustyni samotnego swego domu, ostra, gryząca łza wydoszła się z zamkniętej jej głębi i stoczyła się na rysujące się już marszczkami oblicze. — Niewdzięczna! — jęknęła — niewdzięczna!

Jak wogóle egoiści, nie zapytała się w niepokoju sumienia, czy to ona winą swoją nie doprowadziła oskarżonej do tej niewdzięczności? Czy to nie ona uczyniła posłuszeństwa ciężkiem, a miłości niepodobną?

— Niewdzięczna! — jęknęła tylko — niewdzięczna....

Ale energiczna i niezdolna do rezygnacji — do poddania się boleści w milczeniu, nie mogła przystać, aby się miało to stać, przez co musiałaby cierpieć — przez co musiałaby być stratną. Stara zwrotka wróciła jej na usta? — Nie! to nie może się tak skończyć — zawołała w sobie.

Spokojna już, na oko przynajmniej, siadła do obiadu, podanego wkrótce i jadła go. Nie mogła znieść tej myśli, aby nawet jej służba pomiarkowała to, że ma w piersi robaka boleści. Jadła, przecież patrząc na miejsce zajmowane zwykle przez Wandę — powtarzała. — To nie koniec jeszcze, nie koniec....

Po obiedzie przemówiła słów kilka do panny służącej, to jest dała jej naganę surową, że parasolka, którą miała w kościele, pozostała nie schowana. Chodziła po pokojach i rozpatrywała się w nich: — I ona ztąd uciekła tam.... tam do odrapanych ścian bielonych — jęknęła z goryczą i gniewem, i z uczuciem dziwiącej się w niej myśli. — Ztąd, uciekła tam.... powtarzała.

Namyślała się posępnie, co jej uczynić wypada, aż nakoniec — siadła do biurka i napisała list do p. Romana. Prosiła go aby przyjeżdżał. Wandy już nie było w jej domu i prosiła, aby przyjeżdżał, bo potrzebuje jego pomocy.

On, list odebrawszy, najpierw go zmiął w rękę gniewnie, namiętnie i chciał go odrzucić precz od siebie nieczytany. — A! — zawołał — namysłono się.... Wychowanica pani prezesowej nie codziennie znajdzie konkurenta — konkurenta, któryby nie przyjeżdżał biedką jednym koniem... Zaśmiał się, i w tym jakgdyby dobrym humorze postanowił list przeczytać. Już on przecież nie wróci, choćby przemawiano słowiczym głosem.... Choćby to nawet pisała Wanda sama — nie wróci!....

Najpierw zgnieciony papier rozglądził: — A... rzekł — patrząc uważnie na pismo adresu, w którym poznał rękę prezesowej — może stara chce, abym zdobywał sobie serce jej romansowej synowicy komedya werterowskiej miłości: wdychaniem, gruchaniem....

Jednak kopertę rozdarł i przeczytał. Przebiegając pismo oczyma, rozgrzewał się, rozogniał, krew uderzała mu do głowy. — Panny w domu nie ma, a ona przyzywa mnie na pomoc — zawołała. — Co to jest?

— Uciekła więc.... lecz gdzie? jak?... Kazał sobie natychmiast założyć konie do najniższego kabrioletu i w godzinę potem był w Porzeczcu, a gdy wszedł do salonu, zląkł się prawie prezesowej. Zmieniła się, zestarzała o jakie lat dziesięć, przecież mimo to nie straciła panowania nad sobą. Nie było ani łez, ani wyrzekań. — Niewdzięczna — rzekła raz jeden z goryczą, z żalem cierpkim, ale potem już zwróciła się tylko do niego po radę, jak zbuntowaną doprowadzić do posłuszeństwa? Ma do niej prawo.... Wychowała ją, łożyła na nią — ma do niej prawo....

W nim zagrała dziwna mieszanina namiętności. Historyą miłości Wandy znał od niej samej, więc w szczegółach, które ma lowały jak kochała, jak tęskniła i na myśl, że ona znajduje się teraz tam: u rodziców, w domu tego człowieka, który stał między nią a nim cieniem swoim, zdaleka rzucanym, ogarnęło go jakieś uczucie zazdrości głuchej, nie dającej się określić, a przecież bolącej go, drapiącej mu serce. Zazdrość ta potęgowała

wała w nim zarazem to, co czuł dla Wandy. Iskra, którą chciał zadusić w sobie przez pychę, przez uczucie obrazu, nagle rozdmuchaną została i rzecz dziwna, a jednak psychologicznie prawdziwa i stwierdzona nie raz jeden, nie sto razy, miłość ta rozniecała się w płomień dziko palący, złączyła się z zacięciem nienawiści. Uczuł pragnienie zemsty: chciał wyrzucić ją na Wandzie; chciał ją widzieć złamaną przez przemoc, której onby był narzędziem — upokorzoną, nędzną, zalewającą się strumieniem łez gorzkich... Nieszczęśliwa miłość samolubów przebywa taki zawsze zły proces, który nieraz strąca duchy aż w piekło zbrodni. Gdy inni wśród cicho znoszonej boleści odtrącenia mają pragnienie ofiary, poświęcenia: gdy chcieliby umrzeć za tych ukochanych niewzajemnie, a historia ludzkości pokazuje, że nieraz umierają: ciskając się za nich i dla nich w przepaść, w płomień — w piersiach egoistów zawiedzione uczucie staje się fermentem, który rozkłada tam wszelkie poczucie sprawiedliwości, honoru. I tak się stało z Romanem Kalinowskim. Prezesowa dmuchnęła w ogień, który już się tam palił i rozgorzał silnie.

Oświadczył, że jest na usługi pani prezesowej. Trzeba było dotknąć Wandę w rodzicach tego „romansowo“ kochanego, dla którego zapomniała o wszystkich innych obowiązkach swoich, — że bractwo — rzekł pogardliwie. — Przypomnił sobie teraz tę kobietę siwą, którą Wanda całowała w rękę, jak matkę — tę kobietę, która wyglądała zaledwie na gospodynię i to niekoniecznie pańskiego dworu, siedzącą tam na łaskawym chlebie. Nie patrzył na jej twarz piękną w pogodnej, cicho znoszonej boleści — nie patrzył na łagodną dostojność jej czoła, pod siwymi jak śnieg włosami, ale widział jej stare, znoszone suknie i zdjęło go uczucie pogardy. Pana Michała też gdzieś widział: niskiego, szczupłego, przygarbionego starowinę i pomyślał z podobnym uczuciem pogardliwym: — dziadek kościany!...

Mysząc o tej parze starców, stających niespodziewanie na jego drodze, nie znalazł na razie innego określenia ich nad wyraz: — Żebractwo...

Z żebractwem łatwo jest radzić sobie, zwłaszcza jeżeli się jest panem. Prezesowa opowiadała p. Romanowi szczegółowo o położeniu tych nędzarzy. Grunta na Rudawicy były lekkie, przez ostatnie lata niedołej gospodarki wyjałowione, lasy zniszczone: wszystko zapuszczone i obciążone długami, które nieupłacane rosły. Wisiało to tylko, bo nikt popchnął w dół nie chciał — przez litosć. Oprócz znacznego długu, zaciągniętego w kasie kredytu skarbowego, który zajmował pierwsze miejsce na hipotece, były inne: pomniejsze, zaciągane na opłacenie procentów, na posyłanie pieniędzy synowi. Niejaki Juraszko, dawniej propinator w Rudawicy, a teraz posiadacz własnej już karczmy pod miasteczkiem, miał u p. Michała kilkanaście tysięcy złotych. Dopisywał sobie co rok procent i cicho siedział, bo wiedział, że nie przepadnie i nie gniewał się nawet, że mu tak kapitał powoli rośnie, a ludzie przypuszczali, że ostrzy zęby na Rudawicę, skoro jabłko dojrzeje i będzie go można bez trudu z ziemi podnieść. Był i drugi podobny wierzyciel, jakiś młynarz z okolicy, Tego summa była mniejsza, ale razem wzięte, stanowiły dług poważny.

Prezesowa opowiadała to wszystko, jako ilustrację do wyrazu p. Romana: „żebractwo.“ — Gdyby kto te, i inne drobniejsze długi nabył, i jako wierzyciel główny wieś na licytację wystawił, odetchnęłaby nareszcie. Wyniesienie się tej starej pary z pod jej boku, gdzieś dalej, gdzieś do miasteczka, byłoby dla niej zdjęciem kamienia z piersi. Wanda byłaby łatwiej przyszła do rozumu.

Mówiąc to, patrzyła na p. Romana. Liczyła na niego jak na narzędzie, do przeprowadzenia upragnionej oddawno myśli, ale spostrzegła, że on po wysłuchaniu wszystkiego, zamyslił się tylko pośpiesznie. Rzecz była zbyt ważna, aby się zdecydować odrazu. Obrazić to mogło opinią publiczną, ale o to nie tak znów bardzo się troszczył. Gdyby wiedział, że mu to Wandę w objęcia da, z zimną krwią takby postąpił. Wyjechałby potem na jakie parę lat za granicę, obwiałby

młodą panią po Europie, aby nabrała szyku, jaki w niej widzieć chciał, a za powrotem jużby umiał stosunki sobie wyrobić. Czas wyrównałby mu nieco drogę, pierwszą grudę z niej usunął, on zaś zacząłby od zjednoczenia sobie śmietanki towarzystwa, bo tam mniej jest starych przesądów i usposobienie bywa wogóle pobłażliwsze. Gdyby miał tam raz drzwi dla siebie otwarte, już reszta pisałaby się uniożonymi sługami pana dobrodzieja i mógłby śmiało sięgać choćby o marszałkostwo.

— Czy się nie mylił? Ale ludzie jego natury tak zwykle patrzą na tych, co — według ich mniemania, niżej od nich stoją. Zdarza się też, że niejeden już taką drogą przejechał wskroś gościnca świata, on zaś był z charakteru skłonniejszym, niż wielu do podobnych sądów, i do podobnego torowania sobie drogi przez życie. Wyniosły był z usposobienia i razem małoduszny: nie szanował ludzi, bo nie umiał w nich cenić człowieka przez jego godność duchową. Ze zaś zimny i siebie przedewszystkiem mający na celu, mógł więc spokojnie deptać po drugich, gdy mu przejść po nich było trzeba.

Przecież insynuacji prezesowej nie wziął do serca tak, jakby to była życzyła sobie. Sprawa w jej opowiadaniu przedstawiała się zawile i rozwlekłe, a on mimo chłodu serca miał usposobienie więcej gwałtowne, niż do kunktatorskiej, powolnej czynności skłonne. Zuchwały był i wolał rozstrzącać, niż miny podkładać. Było w nim coś starosty Kaniowskiego i gdyby tak rzecz działa się ze dwa wieki w tył, byłby jutro posłał do Rudawicy kozaków nadwornych, dwórkaż rozebrać, albo przynajmniej dach z niego zdjąć, a potem na cztery rogi zapalić i następnie słuchałby weselo opowiadania, jak kościany dziadek ręce łamał i ogień gasić chciał.

Ale czasy starostów Kaniowskich minęły — minęło i wiele innych rzeczy, lecz o tych p. Roman z Kalinowa nie myślał — myśleć zapomniał. Tym gorzej dla tych, co pamiętają — przynajmniej w stosunku do niego. On p. prezesowej słuchał, siedząc naprzeciwko niej w fotelu aż w opowiadaniu kobiety, gniewem rozżalanej uderzyła go jedna stosunkowo nic nie znacząca drobnostka. Wanda nie wzięła ze sobą nic... — nie! Ujechała w jednej koszuli, w jednej sukni i p. Roman nagle pomyślał, że jednak tak długo pozostać nie może. Musi gdzieś, do jakiegoś miasteczka pojechać, aby sobie coś kupić, jakieś odzienie, choć najprostsze sprawić, nie dziś to jutro. Przypuszczalnie, obie kobiety pojedą razem i on wtedy kościanego dziadka napadnie, nahałasuje, nastraszy go: kryminalnym procesem zagrozi, że zbiegną z domu jakgdyby rodzicielskiego przyjął i przeciw prawu ją u siebie ukrywa. Rzuci mu przytem słów parę o swoich stosunkach i po burdziej okaże się łaskawym panem, którego protekcya może, gdy zechce, daleko sięgać i dużo znaczyć. Stary zgarbi się jeszcze bardziej i może go obejmie za nogi, prosząc o jedno, a przepraszając za drugie... O tem, aby ów zgarbiony biedak mógł, przeciwnie, wyprostować się i zuchwałemu napastnikowi drzwi pokazać — nie przyszło mu do głowy nawet przypuszczenie najlżejsze... Projekt ulął mu się w mózgu, jakgdyby po pijanemu — krew w nim grała i upajała go namiętnością. To, co wczoraj znosił spokojnie, choć pośpiesznie, teraz już nie dało się tak w pierś wtłoczyć. On, do takiego stopnia Wandzie wstrętny, że przed nim przyszło jej aż uciekać — uciekać od wszystkiego, co w jego pojęciu dawało wagę i cenę życia... a tamten drugi tak jej drogi, że dla niego poświęcała to wszystko...

Zawrzał w nim, wszystkie złe strony jego natury; wydobyły się na wierzch, zazdrość zaczęła go oślepić i nie mógł czekać spokojnie na zemstę rozłożoną na tygodnie i miesiące. To, czego pragnęła prezesowa, nie było rzeczą straconą... to mogło przejść swoją drogą, lecz teraz potrzebował czegoś, coby Wandę tam dotknęło, w tym domu, do którego się schroniła — coby ją wypędziło z pod jego dachu...

(Dalszy ciąg nastąpi).

Z DZIAŁU PRZYRODY.

Kronika najnowszych wynalazków i odkryć naukowych.

Ulepszone fonograf. — Elektryczność organiczna. — Sztuczne rubiny. — Odlewy koronek, haftów i t. p. — Fenomen natury. — Sztuczne jaja.

(Dokończenie).

Liczne usiłowania chemików dla otrzymania sztucznych drogich kamieni, zostały w ostatnich czasach pomyślnym skutkiem uwieńczone. Można już dziś z pewnem prawdopodobieństwem twierdzić, że chemicy i mineralogowie, w krótkim czasie będą w możności otrzymać wszelkiego rodzaju drogie kamienie, jakie spotykamy w naturze. Rozumie się, że z chwilą osiągnięcia tego celu, owe drogie kamienie staną się kamieniami tanimi, albo przynajmniej o wiele stracą ze swej dotychczasowej, bajecznej ceny.

W roku zeszłym chemikom Fremy i Verneuil, udało się otrzymać sztucznie kryształki rubinów, które przedstawili na posiedzeniu Akademii paryzkiej.

Dokonali tego, ogrzewając do białości mieszaninę złożoną z glinki, fluorku baryty i dwuchromianu potażu w naczyniu platynowym.

Rubiny, jakie spotykamy w handlu, są czystą krystaliczną glinką lub też glinkanem magnezu, zabarwienie zaś swoje biorą od pewnej domieszki chromu. Skład ich chemiczny od dawna jest dokładnie znanym, mimo to sztuczne otrzymanie w retorcji przedstawia nadzwyczajne trudności, a to skutkiem tego, że nauka nie zbadała jeszcze dokładnie warunków w jakich, w łonie ziemi, krystalizacya minerałów przychodzi do skutku.

I tym razem, — jak utrzymuje p. Fremy — konkurencya zrobiona naturze, nie jest zatrważającą, sztuczne jego rubiny bowiem, są bardzo małemi, wielkość ich nieprzekracza wielkości ziarenka prosa, pomimo to, są to kryształki kompletne, a zbadane przez p. des Cloizeaux, okazały się romboedrami o przeważnej wierzchołkowej płaszczyźnie, lub tabliczkami sześciokątnymi wydłużonemi, stanowiącemi kombinacyą dwóch romboedrów. Pod względem chemicznym są czystą glinką zabarwioną chromem, o blasku dyamentowym, zupełnie przezroczyste, barwa piękna różowa; ogrzewane, w wyższej temperaturze przybierają kolor ciemny, który jednakże po ochłodzeniu znika w zupełności i powraca barwa pierwotna. Co do twardości, to z łatwością nierzynają topaz.

Próby dokonywane przez Stanisława Meunier uwieńczone zostały również pomyślnym skutkiem, udało mu się bowiem otrzymać kryształki rubinu, zwane *spinellem*.

Doprawdy, strach pomyśleć, co się stanie z kapitałami olbrzymimi, tkwiącymi w drogich kamieniach naturalnych, gdy wartość ich zrównoważy się ze sztucznymi, i... w co stroić się przyjdzie.

* * *

Członek Instytutu Franklina E. A. Outerbridge wynalazł sposób odlewania w kruszczu najdelikatniejszych przedmiotów, takich, jak kwiaty, tkaniny, koronki i t. p. Przetwarza on podobne przedmioty w węgiel, a to w następujący sposób: Umieszcza się je w szczelnie zamkniętej skrzynce żelaznej, której dno wysypuje się proszkiem węgla drzewnego, podobnie posypuje się takim samym proszkiem i przedmioty poddawane zgwiegleniu, następnie umieszcza się skrzynkę w piecu i rozpala do białości, i trzyma się ją tak dwie godziny.

Taki przedmiot znosi doskonale wysoką temperaturę, a prąd elektryczny nie rozżarza go. Zwęglony przedmiot wyjęty ze skrzynki, przedstawia wszelkie subtelnosci kształtu i budowy pierwotnej. Polany roztopionym metalem, odwzorowuje w nim najdokładniej swą budowę, tak, że po ostygnięciu metalu, otrzymujemy identyczny odlew koronki, kwiatu i t. p. P. Outerbridge robi w ten sposób odlewy adamaszków, jedwabi, muslinów, tiulów, koronek, przyczem przedmiot do odlewu może być kilkakrotnie użytym, gdyż nie niszczeje.

* * *

Rzadki fenomen natury obserwowany był przez kapitana angielskiego okrętu, „Syberya.“ Kapitan Morre w czasie ostatniej podróży do Nowej Ziemi w odległości około 10 morskich mil od przylądka Race, 12 Listopada roku zeszłego, w czasie, gdy stan powietrza był burzliwym, spostrzegł kulę ognistą o jakie pięćdziesiąt metrów od statku. Kula ta wystąpiła z morza, wzniosła się do pewnej wysokości i zdawała się zbliżać do okrętu, po kilku już jednak sekundach, zaczęła się obniżać, dążyć w bok, a wkrótce potem znikła. Morre już dawniej w tejsamej miejscowości obserwował podobne zjawisko, uważał je za przepowiednię blizkiej burzy.

Biuro hydrograficzne w Washingtonie, któremu o zjawisku tem zakomunikowano, określa je w następujący sposób:

„Ten fenomen natury jest jednym z najrzadszych i zarazem jednym z najtrudniejszych do określenia. Kula unosi się wolno w powietrzu, a po pewnym czasie pęka z łoskotem, jaki sprawia piorun. Można przypuszczać, że czynnikiem tu jest elektryczne atmosferyczne. Zauważono podobne kule ogniste i na lądzie stałym, w którym wydrążają dół głęboki na 10 metrów, poczem wznoszą się w powietrze, aby w innym miejscu podobne zjawisko wywołać.“

* * *

Amerykanie konkurują również pomyślnie z naturą, udało im się bowiem sztuka wyrabiania kurzych jaj. Nie jest to żaden humbug; czerpiemy wiadomości tę z „l'Année Scientifique“ Figuiera, który w następujący sposób opisuje preparowanie tego pożywienia. Podlega ono czterem operacjom: pierwsza wykonywa żółtko, druga białko, trzecia powłoczkę a czwarta skorupę.

Żółtko stanowi mieszaninę mąki kukurydzowej, krochmalu, oliwy i innych substancji, zarboną na konsystencją ciasta, zostaje wrzuconą do maszyny, nadającej jej formę okrągłą. Z maszyny przechodzi do innego oddziału, gdzie otoczoną zostaje białkiem, zupełnie podobnym do tego, jakie widzimy w jajach, i przybiera, dzięki ruchom rotacyjnym, formę owalną. Ztąd, tak przygotowane jajko, przechodzi do sąsiedniego oddziału maszyny nazwanego „wyrabiaczem skóry,“ (la machine à peau), gdzie zostaje otoczone lekką powłoczką sprężystą. Nakoniec przechodzi do ostatniego oddziału, gdzie otrzymuje skorupkę gipsową cokolwiek grubszą od naturalnej. Następnie jeszcze podlega przez czas krótki suszeniu, gips twardnieje i... jajko gotowe. Napozór owe sztucznie produkowane jajka niczem się nie różnią od naturalnych. Zapewniają, że konsumpcja ich już wzrosła tak, iż fabryka nie jest w możności zadosyć uczynić obstalunkom.

Jajka te są również pożywe i zdrowe, jak kurze, nie podlegają psuciu, a są skutkiem mocniejszej pokrywy, dogodniejsze do przewożenia.

Pomimo całej powagi z jaką znakomity uczonec francuzki opisuje fabrykację sztucznych jaj—nie podobna powstrzymać się od zapytania: czy też nie możnaby posadzić na nich kokoszki na 21 dni!?!..

NAD PRZEPAŚCIĄ.

Przez

Czesława Pieniżka.

(Dalszy ciąg).

II.

Znałem żonę Józefa od dziecka, bośmy z jej rodzicami o miedzę sąsiedowali; wiedziałem, że piękna była zawsze, ale tak ożywioną, tak uroczą, jak teraz, nie widziałem jej nigdy. Gdyśmy się wreszcie wspinali na szczyt góry, zastaliśmy całe towarzystwo na terrasie. Pani Miłska na schodach terrasu opowiadała coś małej pięcioletniej Jadwisi, a sześćcioletni Staś biegał, potrzaskując biczykiem; w głębi pani Józefowa promieniejąca, o płomiennem oku, w najgustowniejszej toalecie ogrodowej, żywo rozmawiała z jakimś oficerem francuzkim.

Gdy go Józef zobaczył, przyspieszył kroku i zdala już wołał:

— Ja pana szukam po całym Dreźnie, by cię zaprosić, a...

— A ja pozwoliłem sobie odgadnąć pańską uprzejmość i przybyłem — przerwał Francuz, śpiesząc z wyszukaną elegancją na powitanie Józefa.

Gdy Józef pieści żonę, jakgdyby jej z rok nie widział, Francuzowi skrzywiły się usta ironicznie, ale gdy mnie spostrzegł, zgasił ironią i z wyrazem uprzejmości patrzył na mnie, czekając zaproszenia.

— Masz gościa, gościa niezwykłego, patrz Anieliu! poznałaś go?

— A... pan Kazimierz! witam pana — i podniosłszy się, podała mi rękę Aniela z wyrazem dawnej życzliwości, jaką się zawsze u niej cieszyłem.

— Pan porucznik Gaston de Brun; mój przyjaciel Kazimierz...

Francuz, podając rękę, zasypał mnie zaraz falą słów, z których płynął ten sens moralny, iż czuję się bardzo szczęśliwym, poznawszy jeszcze jednego Polaka, gdyż kocha Polaków, jak swoich własnych rodaków. Były to owe liczmany przyjaźni, jakich nam nigdy nie szczędzili Francuzi.

Tak jakoś byłem rozstrojony opowiadaniem Józefa, że mi trudno było ożywić się teraz i dość biernie się zachowywałem, korzystając z tego, że Francuz mówił i żartował za wszystkich.

Był to mężczyzna wysoki, brunet, zbudowany jak Apollo Belwederski, a twarz miał jakby zdjętą z posągu Apollina, jeno, że przez oczy dał z niego żar jakiś, a usta miały zakrojenia, tak częste u Francuzów, a wyrabiające się z cynicznych uśmiechów. Młody ten człowiek, o zaledwie wyrosłym wąsie, miał w sobie coś demonicznego, zwłaszcza gdy śmiejąc się, pokazywał dwa rzędy bielutkich zębów. Józio uparł się pokazać mi całą wille i ogrody, mimo, że go zapewniałem, iż je znam dobrze, bo zwiedzałem tę miejscowość.

— Może pójdziesz z nami, Anieliu? Pan pozwoli zaprosić się do towarzystwa?—rzekł zwracając się do Gastona.

Francuz zerwał się, Aniela powstała; on podał jej rękę, a my z Józim szliśmy przodem. Józef bezustannie upojony, śpiął się nie czekając na żonę i gościa, i prowadził mnie do winnicy. Gdyśmy się o kilkadziesiąt kroków oddalili, zapytałem:

— Zkądże ty sobie przypytałeś tego Francuza?

— Miły człowiek! co? A jakież miły; zuch chłopak; bardzo go polubiłem.

— Ja, mając piękną żonę, nie polubiłbym takiego freyka.

— A! — odparł z odcieniem oburzenia — moja żona...

— Jest kobietą, która zwykła się nudzić.

— O, zagranicą się już nie nudzi.

— Żeby tylko tu Francuz bardzo jej nie zabawiał...

— Kaziu!

— Nie gniewaj się; wszakżeśmy nie obcy sobie. Mówię jak brat, lecz przez to jeszcze ani nie uchylam twojej żonie, ani jej nie podejrzywam. Zwracam uwagę ot tak sobie...

— Gdy poznasz Gastona, przekonasz się, jaki to prawy charakter.

— No, i jakże tę prawość adaptowałeś do miękkiego swego serca?

— Zaczynasz i mnie przyganiać.

— Ależ, Józio złoty, kochany, wszakże to już chyba nie przygana, gdy oceniam twe zacne serce, a że miękkie, to już taka natura polska.

— A no, sam przyznajesz, że to natura polska. Jakże tu Polakowi nie przygarnąć Francuza? Biedaczysko dostał się do niewoli i kazali mu przebywać w Dreźnie, a puścili pod słowem honoru. Poznaliśmy się w Grossgartenie. Obszedłszy ogród z Anielią, zboczyliśmy na lody do cukierni i przybywamy właśnie w chwili, gdy nad stawem jakiś drażal niemiecki kłóci się z Gastonem. Nie rozumieli się wzajemnie. Niemiec poswojemu, a ten poswojemu. Gdyśmy nadeszli, zbliża się Francuz i z właściwą swemu narodowi elegancją prosi nas, byśmy mu posłużyli za tłumacza z Niemcem.

Był to ogrodnik, pilnujący także i łabędzi, aby im przechodnie nie rzucali jadła: wówczas wydano taki rozkaz wskutek wypadku, że ktoś tam czemś umyślnie czy niechcący zatruł dwa łabędzie. Francuz nakupiwszy bułek, drobił je i rzucał ptakom, a dozorca mu tego wzbraniał i długo prawil o rozporządzeniu władzy. Ztąd sprzeczka. Oczywiście wyjaśniliśmy Francuzowi rzec całą, załagodzili ogrodnika—i znajomość z Gastonem się zawiązała. Ponieważ nie wolno wychodzić jeńcom za terytorium miejskie, przeto przez znajomych rodaków wyrobiłem dla Gastona specjalne pozwolenie wyjeżdżania do Wachwitz.

— I złożyłeś kaucyą?

— Zkądże wiesz?

— Bez kaucyi-by go Niemcy nie wypuszczali.

— Przecieżby słowa honoru nie zламаł?

— Ale poza miastem mógłby działać szkodliwie i aby się przeciw temu uchronić, żąda się kaucyi.

— No, to już mniejsza. Nie wielka rzecz! Dałem dwa tysiące talarów, które mi przecież wróca.

— A to niezawodnie. Ale oryginalny sposób kupowania sobie towarzysza.

— Jakże ci się podoba u nas, kochany kuzynku?— odezwała się zbliżając Aniela, wsparta na ramieniu Gastona.

— Cudna okolica; gdybym był poetą, napisałbym sielankę.

— O czulej pasterce i czułym pasterzu... nieprawdaż?

— Chętnie - bym do nich jeszcze i wilka dodał.

— A to znowu dlaczego?— spytała Aniela źle ukrywając pomieszanie, a jeszcze gorzej udając śmiech.

— No, bo lasy tuż za ogrodem—rzekłem, wskazując ręką, i spojrzałem obojętnie na Aniela, nie spuszczaając jej oka.

Rozważała widocznie, jakby zrozumieć moje słowa, ale widać ufną w to, że nie o Francuzie myślałem, rozpogodziła się i śmiać zaczęła tem weselej, że przed chwilą niepokój ją ogarniał. Francuz świdrował mnie wzrokiem. Rzuciłem mu spojrzenie, z którego wyczytał zimną obojętność.

— Wybornie ci się udało, kuzynku, z tym wilkiem.

— Jeszcze się nic nie udało, bo sielanka nie napisana.

— Ale spróbujesz napisać...

— Chyba gdy was odwiedzę w domu.

— Dlaczegoż tam dopiero?
— Bo tam, kuzynko, doznam na twój widok natchnienia?

— Czyż tu jestem inną?
— Natchnienia tu wzbudzić nie możesz.
— A niegrzeczny! Dlaczegoż?

— Bo kobieta tylko na tle domowego ogniska w domu, gdzie jest gospodynią, panią, żoną, matką, gdzie w całej pełni może rozwiązać i spełnić zadanie swego życia; bo kobieta tam tylko do natchnień pobudzić może takiego, jak ja pedanta, co kobiety nie uważał nigdy za bawidełko, ale za podwalinę etycznej wartości społeczeństwa.

— Ho! ho! ho! Panie Kazimierzu, pyszna deklamacja; prawisz jak teolog. Kobieta wydaje ci się więc najpiękniejszą, gdy dzieciom gotuje papkę, gdy zwoluje gęsi, kurki, kury i Bóg wie nie co, albo może gdy do obory idzie przypatrywać się jak krowy doją!

— Nie przeczę, że taki mam gust.

— Ożeńże się z jaką Maryną lub Kaśką.

— Nie pani, tego nie uczynię, ale gdy się ożenię, zaprawię żonę moją do tych zajęć, aby jej się nigdy nie nudziło w domu. Im świetniejsze kobieta ma wychowanie, im dokładniejsze wykształcenie, tem silniej uczuwa w sobie zadowolenie ze spełniania obowiązków.

— Jeno cię żywcem, kuzynku, oddać pod strzechę szlachecką, między wąsali z podgoloną czupryną, co ze swojemi aśkami odmawiali różańce i kopali grzędę.

— Różaniec dla kobiety z pewnością pożyteczniejszy od francuzkiego romansu.

— Za co też kuzynku poczytujesz kobiety? Za ludzi wolnych, czy za niewolnice?

— Uważam je za ludzi, i właśnie dlatego chcę, aby znały swe prawa i swe obowiązki i, korzystając z pierwszych, drugie spełniały. Czemże byłaby kobieta, któraby korzystała w całej pełni z praw swoich, a nawet ich nadużywała, a obowiązków nie spełniała żadnych, spełniać ich nie chcąc, nie znając ich nawet wcale?

— A toście się rozgadali na temat filozoficzno-moralny, zaczawszy od sielanki — wtrącił Józio, spostrzegłszy, że Aniela cokolwiek zaczęła się krzywić.

Nie przypuszczała, bym do niej zmierzał, nie domyślając się oczywiście naiwnej spowiedzi Józefa, uczynionej przede mną zaraz po spotkaniu, a wiedząc, że byłem zawsze nader uprzejmy dla kobiet, jej zaś okazywałem dotąd jaknajwięcej szacunku. Nie biorąc słów moich za przytyk do siebie, była z nich przecie niezadowolona, co wyraźnie objawiało się w jakimś niesmaku, który się rozlał na jej twarzy. Lękając się, bym nie powiedział za wiele, jak mi się już raz wyrwało w pogawędce z Józefem na statku, zwróciłem rozmowę w wesołym tonie na dzieci, zwłaszcza, że Staś przybiegł w tej chwili do winnicy, nie zważając na wołanie pani Miłskiej.

— A niechże cię upieszczę, Stasiu — zawołałem podnosząc go z ziemi. — Poznałeś ty mnie? Pamiętasz, jak my obaj na kucyku jeździli?

— Pan duży, to na kucu nie jeździ.

— Ale z tobą to będę zawsze jeździł.

— I ja z panem pojedę i z Tatusiem, a z tym Francuzem nie pojedę.

— A to czemu?

— Bo on paskudny, ja się go boję, on taki czarny, jak kominiarz, a tak patrzy strasznie!

To rzekłszy zwrócił się ku mnie i objął mnie za szyję. W tej chwili zjawił się służący, zapowiadając herbatę.

Znowu znaleźliśmy się na terrasie, ale wszyscy mniej weseli niż dotąd, a przynajmniej nie tyle swobodni. Po herbatce pożegnałem Józefowstwa, co widząc Gaston, także wybrał się w drogę. Wsiadliśmy razem na statek. Mimo wszelkich wysiłków, tak z mojej, jak i jego strony, aby nawiązać zwykłą rozmowę towarzyską, nie wiodło się nam wcale i przyplłynęliśmy w dwadzieścia kilka minut do Drezna wśród banalnych uniesień nad piękną księżycą.

(Dokończenie nastąpi).

Kronika działalności kobiecej.

— Zawód aptekarski staje się u nas przystępnym dla kobiety. Według nowych przepisów aptekarskich, kobiety będą dopuszczone do studyów farmaceutycznych. Wolno im będzie przez zdane examina ubiegać się o stopień magistrów farmacyi, równający się w prawach swoich stopniowi doktorów medycyny. Zatem będą mogły prowadzić i na własność posiadać apteki.

— Panna Zofia Oleśnicka, okulistka, skończywszy w Zurychu studia uniwersyteckie, zamierza osiąść w Warszawie i po zadosyć uczeniu formalnościom prawnym, oddać się praktyce leczenia chorób ocznych. Jest ona Warszawianką, córką komisarza byłej Komisyi Skarbu.

— P. Szymkiewiczowa wysyła na wystawę Kopenhagską kwiaty własnego wyrobu. Otwarcie tam drogi zbytu dla tego wyrobu pracy kobiet naszych byłoby rzeczą wysoce pożądaną.

— Dzienniki donoszą o istnieniu od 1882 roku we wsi Janowice w okolicach podolskich, na wielką skalę urządzonej hodowli gęsi i przerobu ich na półgęski, które wraz z pasztetami z wątróbek gęsich idą do Londynu, gdzie uważane są za westfalskie. Pośrednikiem ma być niejaki Ignacy Perschel, zamieszkały w Londynie, który się zajmuje ich sprzedażą detaliczną.

— „Gospodarz“ pismo wychodzące przy *Kraju*, pisząc o znacznej ilości jaj, które wychodziły od nas za granicę, szczególnie z okolic lubelskich, a głównie ze stacyi Rejowice i Chełm, dodaje, że osobom, któreby pragnęły bliższych w tym przedmiocie wiadomości, co do opakowania i wysyłki, jak również o cenach jaj na różnych rynkach ich zbytu, chętnie tychże udzieli.

— Płockie *Towarzystwo Dobroczynności* wyraziło podziękowanie swoje p. Anieli Wołowskiej jednej z opiekunek tegoż *Towarzystwa*, za trud, podjęty przy rozdawaniu biednym gorącej herbaty z chlebem w czasie srogich mrozów tegorocznej zimy.

— W Poznaniu odbyła się w d. 22 Kwietnia staraniem pań tamtejszych urządzona w kościele Ś-go Marcina msza za zdrowie cesarza Fryderyka III, a to jako dowód wdzięczności za przybycie cesarzowej Wiktoryi do Poznania i dobroczynną tam działalność, oraz delikatność uczucia, którą okazała w stosunkach z witającymi ją tam paniami. Kościół tak był przepełniony, że wiele osób już miejsca znaleźć nie mogło, więc drugie takie nabożeństwo odprawione zostało w ciągu tygodnia. Oprócz dobroczynnego, zajęcia się cesarzowej biedną, przez powódź dotkniętą ludnością, zwróciła ona uwagę na nędzne mieszkanią tej ludności, zajmującej po większej części smutne i niezdrowe sutereny, pozbawione dostatecznego światła i powietrza. Cesarzowa poleciła naczelnej władzy miasta, aby zajęła się ulepszeniem mieszkań robotników, o czem kazała sobie przesłać sprawozdanie. Książę Radziwiłł, doręczył też cesarzowej dziękczynny adres ludności polskiej z prowincyi Poznańskiej.

— Kamila Bogdańska, Warszawianka rodem, a w 1858 roku uczennica Hadziewiczza, wyrzucona przez wypadki losowe z miejsc swych rodzinnych i zapędzona przez nie do Ameryki, założyła tam w mieście Detroit szkołę malowania dla kobiet. Pomyślnie rozwinięte się przedsięwzięcia, pozwoliło jej zebrać sobie pewną fortunę, która dostarcza jej środków na powrót do kraju. Ma ona braci, w Warszawie zamieszkałych.

— Hermenegilda Ubyszowa, Polka, zamieszkała w Chicago, założyła tam szkołę zegarni-strzostwa dla kobiet, do której zapisało się czternaście dziewcząt, przeważnie pochodzenia polskiego. Ubyszowa zamierza za zebraniem odpowiedniego funduszu rozszerzyć szkołę i dodać oddział wyrobu zegarków.

— Okazy robót kobiecych z Galicyi, nadesła-

ne do Londynu z celem wystawienia ich na wystawie pracy kobiecej w Glasgowie, zostały przewoźniczo wystawione w Londynie za staraniem p. Anieli Giełgudowej. Wystawę tę, która trwała dni dwa, zwidziło dużo pań z arystokracji angielskiej i zakupiło wiele przedmiotów, szczególnie haftów srebrną nicią dokonanych przez wieśniaczki z Galicyjskiego Podola. Jedna sztuka wełnianego wyrobu z białej wełny, haftowanej srebrną nicią, została nabyta przez damę z najwyższej arystokracji angielskiej, która postanowiła zrobić z niej sobie suknię na przyjęcie u królowej. Zapłacono za nią 20 funtów szterlingów, co znaczy około 400 franków. Galicya otrzymała zamówień na 600 florenów i jest nadzieja, że główna wystawa w Glasgowie przyniesie ich więcej. Podobały się koronki z Zakopanego, Kanczugi i Bobawy.

— W Nowym Yorku utworzył się komitet kobiet, zamierzających wystawić w Paryżu z bronzu ulany pomnik Waszyngtona. Ma to być ze strony kobiet amerykańskich akt wdzięczności za postawienie przez Francuzów w Nowym Yorku pomnika Lafayette'owi.

— Wzruszający fakt przywiązania żony do męża zdarzył się obecnie we Francyi. Okręt narodowej marynarki francuzkiej, „Gedeon“ odprawiający służbę krążenia między Bordeaux a Algierem, a dowodzony przez kapitana Tournes, zaginął w miesiącu listopadzie zeszłego roku bez wieści. Żona, niemająca dowodów, że mąż zginął wraz ze statkiem w skutek rozbicia, trapiła myślą, że zapędzony przez burzę na wybrzeża morskie, popadł może w okrutną niewolę zbójców morskich, którzy przy brzegach tamtejszych czatują na statku, i postawione przez burzę lub inne okoliczności w stanie bezbronności, zwróciła się do ministerstwa marynarki z żądaniem, aby przedsięwzięło jakieś kroki poszukiwania i ratunku. Ale daremnie kołatała o to przez cztery miesiące, aż nakoniec spotkała się z kategoryczną odmową na zasadzie, że niepodobniestwem jest, aby nikt z załogi całej nie dał dotąd żadnej wiadomości o sobie w razie, gdyby okręt nie poszedł na dno morza. Przecież miłość trudno się rozstaje z nadzieją. Biedna kobieta spieniężyła wszystko co posiadała, lecz nie było tego dość, aby na własnym statku puścić się na poszukiwanie tak dalekie i niepewne; wtedy popchnięta rozpaczą zwołała wszystkie żony żeglarzy, stanowiących załogę *Gedeona*, wzywając od nich pomocy dla celu, którym im był wspólny. Kobiety które tak też czuły jak ona, oddały wszystko, co posiadały i złączone te fundusze pozwoliły nająć statek, na którym ta mężnie kochająca wypłynęła z Bordeaux. Towarzyszy jej jedna z tak nieszczęśliwych, jak ona żon, Rozyna Rablais.

— Kobiety zamieszkujące departament Wogezów, zostały silnie wzburzone wieścią, że liberały miejscowe chcą odebrać siostronom zakonnem straży domu w którym, według podania, miała się rodzić Joanna d'Arc, i oddać ją jakiemu zasłużonemu weteranowi, ozdobionemu krzyżem legii honorowej.

„Joanna d'Arc należy do kobiet Francyi!“ — napisały one w odezwie do Rady Generalnej departamentu, dodając, „że jeżeli potrzeba, aby godło narodowego męstwa i honoru francuzkiego było widzialnem w domu, nad którym unosi się cień bohaterki, to niech wybraną zostanie na jego strażniczkę kobieta, która to przedstawia.“ Jest wiele siostr miłosierdzia ozdobionych krzyżem legii honorowej za czyny poświęcenia i miłości Francyi, niech więc jednej z nich ta straż powierzona zostanie — pisze petycja, zakończając: „Nie oduczajcie kobiet francuzkich od tego, aby chwala i relikwie wielkości ich ojczyzny drogimi im były, bo nie znajdziecie potem tych uczuć w sercach synów waszych!“ Czy rada Generalna usłucha tego głosu i znaczenie umieszczonej w nim przestrogi zrozumie? Zaznacza się tu jednak fakt, że wszystkie żony i córki członków Rady są podpisane na petycji.

— Edwardowa André, znana w dziedzinie sztuki francuzkiej pod panięńskiem swem nazwiskiem, jako Neli Jacquemart, ofiarowała w czasie wielkich mrozów ubiegłej zimy wszystkie

swe klejnoty, wartujące milion franków, *Towarzystwu filantropijnemu* na ciepłe obiady dla biednej ludności paryżkiej. Prócz tego dała własną miniaturę i trzy inne dzieła pędzła swego, co też przyniosło biednym kilka tysięcy franków.

— Szlachetna Szwedka, o której czytelniczki nasi wiedzą, iż założyła i od lat ośmiu patryotycznie utrzymuje w Londynie, w pobliżu West India Docks, *Gospodę skandynawskich żeglarzy*: Agnieszka Hendenström, wykazała w sprawozdaniu przedstawionem księciu Oskarowi Szwedzkiemu, gdy za bytności swej w Londynie w miesiącu zeszłym zwiedzał ten dobroczynny zakład szlachetnej swej współziomki, że w roku ubiegłym miała powierzonych sobie przez matków skandynawskich 15,000 funtów sterlingów, co znaczy blisko 300,000 franków, z których 6,000 funtów, więc około 120,000 franków za jej pośrednictwem zostało przesłanych do kraju rodzinom owych żeglarzy: żonom lub rodzicom. Obecnie sypialnie *Gospody Skandynawskich żeglarzy*, mogą pomieścić 300 ludzi, przecież przy nadspodziewanem powodzeniu zakładu, gdzie przebywają również Duńczycy, Norwegczycy, Finlandczycy, szlachetna jego założycielka zamierza gospodę swą rozszerzyć. Między narodowościami, z których pochodzący żeglarze mogą tam znaleźć przyjęcie, wymieniła ona we wspomnianem sprawozdaniu i matków pochodzenia polskiego. Już tam znajdowało się wyjątkowo kilku z nich, pochodzących z pruskich nadbrzeży Bałtyku. Pamięć na prababkę swą Łosiównę, zapewne skłania ją do tego miłosiernego rozszerzenia gościnności. Czy te wędrowne ptaki Boże znajdują tam pacierz—modlitwę w języku rodzinnym, jak to mają tamci inni jej goście?

— Włoska *Rassegna Femminale*, rozpoczęła drugi rok istnienia bardzo szlachetnie napisany artykułem: „Obowiązki kobiety w rodzinie i państwie.“ Królowa Małgorzata jest stałą prenumeratorką i czytelniczką tego pisma.

— Kobiety Brazylijskie, mając na czele księżniczkę cesarską, przesłały Papięzowi telegram donoszący, że uczciły jego jubileusz przez akt obdarowania wolnością 250 niewolników.

Z BIEŻĄCEJ CHWILI.

— Prof. Pawiński został mianowany rzeczywistym członkiem *Towarzystwa Historycznego* w Odesie.

— *Muzeum etnograficzne* przy ogrodzie zoologicznym w Bagateli, otrzymało szacowny dar: w postaci zbiorów przywiezionych z Afryki przez podróżnika naszego, p. Jawornickiego. Zjeżdża on wkrótce do Warszawy i zamierza mieć na korzyść instytucji dobroczynnych szereg odczytów o ostatniej wyprawie swojej do Fernando Po.

— *Gazeta Radomska* donosi o szczególnie obdarowanym dziecku, czternastoletnim Adamie Ebertowiczu, synu organisty z Jedlińska, który okazuje niepospolite zdolności do rysunku i muzyki. Muzyki uczył się od ojca, poczynając od sześciu lat wieku, i dziś grywa już ze szczególnym zamiłowaniem i oznakami wyższego talentu Szopena i Liszta. Do rysunku wziął się z własnego natchnienia, bez odpowiednich wzorów i nauczyciela doszedł do tego, że z łatwością i szybko, z zachowaniem pewnej techniki rysuje z natury krajobrazy i inne przedmioty żywe i martwe. Ani szkoła w Jedlińsku, ani ojciec nie są zdolni udzielić

potrzebnych tu wskazówek i pokierować przyszłością chłopca, który może ma w sobie zarody wielkich talentów.

— *Matejko* wystawił w Sukiennicach, swój nowy obraz „Raclawice“, który rozmiarami przechodzi wszystkie inne obrazy tego mistrza, bo ma wysokości 4,85 metra, długości 9,80 metra. Stanie się on własnością Muzeum Krakowskiego w zamian za inny obraz tego mistrza: „Sobieski pod Wiedniem“, który w drodze składek miał być nabyty na własność publiczną, a który jednak z woli Matejki został ofiarowany Papięzowi. Następnie „Raclawice“ zostaną wysłane na wystawę Monachijską, mającą się otworzyć d. 1 Czerwca.

— *Wystawa w Monachium* pomieści wiele dzieł naszych malarzy. Oprócz wspomnianego obrazu Matejki, wysyłają na nią: Brant „Bitwę pod Warką“, Rosen „Przeгляд wojska na Saskim Placu w 1824 r., Wywirowski „Tabor tatarski“ Szerner „Lisowczyk oglądający konia“, Waclaw Szymanowski „Huculy w karczmie“, Alfred Kowalski „Wesele Krakowskie“, Bogdan Kleczyński „Wyjazd na polowanie.“

— *Zbiory prof. Rehmana* zebrane w 1875 i 1880 r., w Afryce Południowej, zostały opracowane przez prof. Ignacego Szyszyłowicza, Krakowska Akademia Umiejętności opracowanie to wydała, jako rzecz naukowo cenną, stanowiącą pierwszy opis flory podzwrotnikowej i obecnie przysłać należy Dr Rehmannowi najpierwsze miejsce między podróżnikami naszymi, bo on pierwszy umiał tak stanąć na gruncie naukowym, że owoce prac jego pozostaną na zawsze ubogaceniem nauki i literatury naukowej, nie tylko w zakresie naszego społeczeństwa. Mielśmy wielu zasłużonych podróżników: Cienkowski i Waga zwiedzali pracowicie Afrykę, Karwiński Meksyk, Jelski i Warszewicz Amerykę, Strzelecki Australię, lecz zbiory ich zatraciły się, gdy tymczasem Dr Rehmann przy współdziałaniu Dr Szyszyłowicza zajmie poczesne miejsce między uczonymi podróżnikami świata. Dr Szyszyłowicz posługiwał się w znacznej części łaciną ze względu zapewne, aby dzieło jego mogło mieć szersze koło czytelników i weszło w skład powszechnej literatury naukowej.

— *Towarzystwo czytelni ludowych* w Poznaniu, wykazuje w sprawozdaniu swoim, że w roku ubiegłym biblioteka Towarzystwa pomnożyła się o 39,000 książek, przyczem przybyło 113 nowych czytelni. Członków liczy Towarzystwo 418, dochodu miało 21,000 marek.

— *Towarzystwo pomocy naukowej* imienia Marcinkowskiego w Poznaniu, miało rocznego dochodu 65,000 marek, rozchodu 50,000 m. Udzieliło 258 stypendiów w summie 47,766 marek

— *Z zapisu Rosiniego* wznosi się w Paryżu przytułek dla samotnych i ubogich muzyków, którzy skończyli lat 60. Przytułek ma się otworzyć w d. 1-go Października.

— *Meissionier* ukończył swój największy do rozmiarów, a może i do treści obraz, zatytułowany: „Rok 1807 r.“ Pracował nad nim lat trzy.

— *Druga, nieznaną część Fausta* została odkryta w archiwach Goethego w Wejmarze przez prof. Eryka Schmidta.

— *Pomnik Gambetty* mająca wieńczyć ozdoba, odlana już z brązu i gotowa do ustawienia, przedstawia dziewięć amazonkę na lwie skrzydlatym. Ma to być alegorya demokracji.

— *Francuzcy artyści* odmówili podobnie, jak w Wiedniu, udziału swego w międzynarodowej wystawie w Monachium.

— *Wystawa sztuki włoskiej*; otwarta w Rzymie w niedokończonym jeszcze zupełnie Palazzo delle

Belli Arti, na Via Nazionale, mieści 65 dzieł rzeźby, 179 obrazów olejnych i 63 akwarel.

— *Rodzinny dom poety*, drogiego Szkocyi, Burnsa, pielęgnowany, strzeżony przez jego rodaków ze czcią niemal religijną, uległ nagle niespodziewanemu, niesłychanemu zniszczeniu. Odległy o dwie mile angielskie od miasteczka Ayr, położony był ustronnie wśród malowniczej okolicy wiejskiej, gdy nagle jakaś rzecz straszna pędzi ku niemu przez powietrze z przerażającym świstem, uderza i przebiwszy dach, na który spadła, wali ściany, Kocioł to był parowy, który się wysadził z kuźni, położonej o sześćdziesiąt jardów odległości, i który zaleciał aż tu, aby runąć z góry. Dom jest w większej swej części zgruchotany, na szczęście pokój pamiątkowy, gdzie poeta ujrzał światło życia, ocalał.

— *Norwegi przyrodnik* Nansen, przedsiębierze wyprawę do Grenlandii, mającą się odbyć według planu Nordenskiölda na łyżwach i saniach. Zamierza on rozpocząć ją od przylądka Kap-Dau i dostać się do miejscowości Dirko, co znaczy przebycie 90 mil geograficznych po lodzie. Towarzyszyć mu będzie tylko trzech ludzi: dwóch Lapończyków i jeden Norwegczyk, którzy wieść będą na małych saneczkach zapasy żywności i inne. Przypuszczają, że początek wyprawy zaraz od wejścia do zatoki przedstawi największą niebezpieczeństw. Dalej, na płaszczynie, wzniesionej o 15,600 metrów nad poziom morza, spodziewają się znaleźć śnieg ubity, który umożliwi podróż pieszo, to jest na łyżwach. Wprawny do tego rodzaju podróżowania Norwegczyk może przebieść dziennie od 150 do 200 kilometrów, i w takich warunkach wyprawa trwałaby powyżej dni 17, co Nansen jeszcze nie uważa za rzecz niebezpieczną. Nordenskiöld przebył raz w podróżach 31 dni na lodzie.

— *Belgijska Akademia medyczna* oddaje się obecnie badaniom hypnotyzmu, pragnie bowiem wnieść do rządu petycję, żądającą zniesienia publicznych przedstawień hypnotyzowania, uważając je za niemoralne i szkodliwe dla zdrowia ogółu. Donato dla odparcia tych zarzutów Akademii, przybył do Bruxelli z celem publicznych konferencji o hypnotyzmie. Pierwsza z nich miała miejsce 10 Kwietnia, przy wielkim natłoku słuchaczy.

— *List Amerykańskiego missyjonarza* w Chinach, który doszedł do Queenstown, donosi, że dwa ostatnie trzęsienia ziemi w prowincji Yunnan kosztowały życia 15,000 ludzi i kilka miast uległo zupełnemu zniszczeniu. Klęska największa była w obwodzie Tschin-Tschan, gdzie trzęsienie trwało dni cztery. Miasta: Lamon i Yamen przedstawiają tylko stosy gruzów, pod którem legło 4,000 ludzi. W okręgu So Tschan w obwodzie Tschnen, powierzchnia ziemi zmieniła zupełnie postać: wsie i miasteczka zniknęły, a ich miejsce zajęło ogromne jezioro, w którego wodach zatonoło 10,000 ludzi, wraz z dobytkiem swoim: domami, zwierzętami.

Do dzisiejszego numeru *Bluszczu* dołącza się Arkusz 2-gi powieści pod tytułem: **Wybór Aliny**, przez Mrs. Alexander.

TREŚĆ: Pogawędka. — **Zycie i praca**, (dalszy ciąg), przez Samuela Smilesa. — **Na starym gruncie**, powieść, (dalszy ciąg), przez M. Febronia. — **Nad przepaścią**, (dalszy ciąg), przez Czesława Pieniążka. — **Z działu przyrody**, przez J. S. — **Kronika działalności kobiecej**. — **Z bieżącej chwili.**

Dodatek obejmuje: Arkusz 2-gi powieści pod tytułem: **Wybór Aliny**, przez Mrs. Alexander. — **Przeгляд mód.** — 26 wzorów ubiorów i robót z opisem. — **Sekrety gospodarskie.** — **Dyspozycją stołu.**

Warszawa.—Druk i Litografija S. Orgelbranda Synów, Krakowskie-Przedmieście Nr 66.

Дозволено Цензурою.—Варшава, 20 Апрелья 1888 года.

Redaktor odpowiedzialny Michał Glücksberg